

Paweł Paliwoda: Ideologia demaskowania

Dopatrywanie się we wszystkich tworach kultury cech ideologicznych jest znamioną charakterystyką współczesnych nauk społecznych. Mnożą się nazwy przedmiotów i metod demistyfikacji. Nie ma wiedzy, jest socjologia wiedzy; nie ma bogów, jest socjologia religii; nie ma tekstu, jest walka z „semantycznym imperializmem”. Nie stawia się pytania: czy to prawda? Stawia się pytanie: skąd się to wzięło? Nic nie tłumaczy się samo przez się – pisał Paweł Paliwoda. Przypominamy jego tekst w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: Kołakowski a metanoia lewicy.

Sformułowana przez Leszka Kołakowskiego, jeszcze w czasach jego flirtu z marksizmem, koncepcja intelektualisty jako „błazna” podważającego wszelkie wartości, obowiązuje do dziś w kręgach „postępowej” inteligencji. Jeżeli „ideologia” oznacza zdeformowany obraz rzeczywistości, kamuflujący egoistyczne motywy czyjegoś działania, to demaskowanie ideologii może się okazać pożyteczne.

Jeżeli jednak ideologię myli się z prawdziwą wiedzą, demaskatorstwo staje się szkodliwe. A do pomyłek musi dojść wówczas, gdy wszelkie idee uznaje się za ideologię. Na ogół demaskatorstwo samo spełnia wówczas funkcje ideologiczne. Tak często działo się w czasach komunizmu. Podobne zjawiska obserwujemy obecnie.

Demaskatorstwo partyjne

„Bezpartyjność jest ideą burżuazyjną, a partyjność – socjalistyczną” – to stwierdzenie Lenina dotyczyło wszelkiej działalności człowieka, także poznawczej. Dlatego Trofim Łysenko, agrobiolog socjalistyczny, wyśmiał naukowców burżuazyjnych i wysiewał zboże na śnieg. Podobnie było z filozofią. Klasyczne jej rozumienie – bezstronne dociekanie prawdy – zostało zakwestionowane już przez Marksa i Engelsa. W ZSRR Lenin w pełni zrealizował ich przepowiednię „zmierzchu filozofii w dotychczasowym znaczeniu tego słowa”. Rozmyślanie o Bogu, moralności czy sztuce niesłużącej rewolucji twórcy marksizmu zgodnie uważali za przejaw obskurantyzmu. Myśli Platona, św. Tomasza czy Kartezjusza traktowali jako narzędzie wrogich interesów.

Nie znaczy to, że marksista nie powinien zajmować się innymi systemami myślowymi. Przeciwnie. Powinien je dogłębnie zdemaskować, czyli ujawnić, jak powstały i czyim interesom służą. Hasło „demaskowania” czy „demistyfikacji” stało się główną metodologiczną przesłanką marksistowskich badań nad ideami. Oto dwa typowe przykłady „demaskowania” z wczesnych lat pięćdziesiątych, autorstwa Leszka Kołakowskiego, najsubtelniejszego wówczas marksisty w Polsce:

Bezgraniczna pogarda dla człowieka i dla wiedzy ludzkiej, tak dobitnie sformułowana na najbardziej odrażających kartach Naśladowania Chrystusa, była znamienym rysem całej kościelno-feudalnej ideologii. [...] Każdy chwalcza kapitalistycznych porządków nie jest bynajmniej

upodlonym piewą swych mecenasów amerykańskich, ale jest obrońcą „zachodniej kultury”; każdy żandarm, policjant i prowokator, opłacany przez burżuazyjny rząd, stoi na straży zachodniej tradycji kulturalnej. A filozofowie atlantyccy, których powołano do fabrykowania metafizycznych usprawiedliwień dla działalności burżuazyjnej policji, przypuszczają – ufni w potęgę werbalnych mistyfikacji – że odwiodą klasę robotniczą Zachodu od walki i wmówią w nią, że żyje w warunkach wolności i dobrobytu, jeżeli tylko słowo „imperializm” zastąpią słowem „Zachód”.

Marksistowska ideologia jest podobna do Freudowskiej „sublimacji”, która naukę, sztukę i filozofię demaskuje jako przejaw stłumionych popędów. Podobnie u marksistowskich „filozofów podejrzeń” – cała zachodnia kultura to religijna ciemnota i burżuazyjny sabotaż.

Wielu było filozofów „krytycznych” przed marksizmem – wielu krytyków religii, antymetafizyków, sceptyków, relatywistów i libertynów. Jednak to właśnie w marksizmie demaskowanie „ideologii”, czyli tego, co w zachodniej kulturze trwałe i konserwatywne, uzyskało status podstawowej czynności umysłowej oraz instytucjonalny wyraz. Komunizm – zwłaszcza w fazie stalinowskiej – wygenerował w Polsce kastę zawodowych demaskatorów, będących integralnym składnikiem nie tylko systemu edukacji, ale – przede wszystkim – komunistycznego państwa.

Demaskatorstwo błazeńskie

Nowym wariantem ideologicznej demistyfikacji była koncepcja filozofii błazeńskiej, sformułowana przez Leszka Kołakowskiego w atmosferze popaździernikowej odwilży. W tekście Kapłan i błazen z 1959 roku autor dowodzi, że myśl absolutystyczna – w różnych formach nawiązująca do dziedzictwa teologii – którą symbolizuje postać kapłana, ma tendencję do przekształcania się w represyjną ideologię. Myślenie w kategoriach prawd ostatecznych prowadzi do postawy policjanta. Kołakowski nie poprzestaje jednak na „negatywnej czujności wobec absolutu jakiegokolwiek” i desygnuje błazna – prześmiewcę – do aktywnego demaskowania wszelkiego „objawienia”. Błazen sprawia przez to wrażenie młodzieżowego aktywisty, poszukującego coraz to nowych absolutów do unicestwienia.

Skąd czerpie reguły prawomocności własnych orzeczeń? Z wiary w społeczną przemijalność każdej filozofii (oprócz błazeńskiej). W sposób arbitralny – „nie w rezultacie konfrontacji argumentów, albowiem w tych sprawach wybory główne są wartościowaniem” – wyznacza „absoluty” do zdemaskowania. Może być więc pewien, że wszystko, czego się tknie, jest ideologiczną ortodoksją. Jest zatem zwolniony z ideologicznej dyskusji z kapłanem. Działalność błazna jest tym bardziej spektakularna, że jego oponent odmalowany został przez Kołakowskiego jako sklerotyczny starzec, zadający umysłom gwałt „obrożą katechizmu”.

Tekst Kołakowskiego był wymierzony głównie w stalinizm, ale trafiał także w religię i znaczną część myśli niemarksistowskiej. Kołakowski pozostał marksistą, a wnioski ze swoich stalinowskich doświadczeń przedwcześnie uogólnił. W swoim intelektualnym rozwoju przewyciężył bowiem marksistowskie dziedzictwo i później – jako

myśliciel w pełni ukształtowany – ostrzegał wielokrotnie przed bezmyślnym atakowaniem absolutystycznych składników kultury. Jednak wielu polskim intelektualistom koncepcja błazna posłużyła za instrukcję, czym ma się zająć marksista, który zwątpił w nieomylność proletariatu: walką z każdym autorytetem, tj. „ciemnotą” i „zabobonem”.

Demaskatorstwo współczujące

Co ma wspólnego demaskatorstwo ze współczuciem? Aby to wyjaśnić, odwołajmy się do Maxa Schelera. Autor ten – idąc tropem Nietzschego – podkreśla, że wszelką nienawiść można wyrazić „pod pozorem jakiejś formy miłości; miłości do czegoś, co ma przeciwstawne cechy niż przedmiot nienawiści”. Tak właśnie, zdaniem Schelera, dzieje się często w przypadku postaw określanych jako humanitarne lub altruistyczne. Są one formą pośrednio wyrażanej awersji do miłości chrześcijańskiej lub miłości do ojczyzny.

Miłość chrześcijanina Scheler przedstawia – trafnie – jako osobistą, duchową więź z konkretnym człowiekiem. O jej wartości stanowi nie płynąca z niej korzyść, ale sam fakt zaistnienia. Wdowi grosz ma wielką wartość, mimo słabej siły nabywczej. Świat, w którym jest więcej miłości, jest lepszy od świata, w którym jest jedynie mniej cierpienia. Dlatego miłości chrześcijańskiej nie wolno mylić z „instytucją charytatywną”, „społecznym nastawieniem” czy „socjalizmem”.

Natomiast humanitaryzm jest miłością – za jednym zamachem – do całej ludzkości. U jego źródła często leży oświeceniowe założenie, że śmierć religii i tradycyjnych wspólnot jest warunkiem narodzin społeczności egalitarnej, pozbawionej wewnętrznych różnic i płynących stąd cierpień (przypomnijmy, że także Marks, zabiegający o społeczeństwo bezklasowe, podpisywał się pod tezą: „Komunizm zaczyna się wraz z ateizmem”). „Przy takim nastawieniu – pisze Scheler – »ludzkość« nie jest bezpośrednio przedmiotem miłości [...], lecz zostaje taktycznie przeciwstawiona przedmiotowi nienawiści”. W tej formie humanitaryzm okazuje się miłością pozorną, skrywającą tłumioną nienawiść do chrześcijaństwa. Jest współczuciem na pokaz przypominającym „stare baby, które nawzajem zarażają się szlochem”.

Współczucie, które taktycznie przeciwstawia bronione wartości przedmiotowi nienawiści, odnajdujemy w opisie amerykańskiej kontrkultury lat sześćdziesiątych, którego autorem jest Allan Bloom: „Studenci pragnęli dla siebie roli przywódców rewolucji współczucia. Ale przedmiotem ich wielkiej pogardy i wściekłości była amerykańska klasa średnia [...], ci wszyscy prostacy, którzy w Ameryce składali się na większość, nie potrzebując i nie chcąc ani współczucia, ani przywództwa studentów”.

Pomijając drugorzędne różnice, ten wizerunek amerykańskich studentów jak ulał pasuje do polskiej liberalnej inteligencji, która po 1989 roku postrzega siebie jako najlepszego kandydata do sprawowania rządu dusz. Chrześcijaństwo szybko stało się jej głównym „ideologicznym” konkurentem. Z miejsca też ci ludzie zabrali się do jego demaskowania. Instytucjom i sposobom myślenia odwołującym się do „zaściankowego” katolicyzmu przeciwstawili europejską

„otwartość”, absolutyzmowi kapłanów – relatywizm libertynów, „plemiennemu” partykularyzmowi – wrażliwość uniwersalistyczną. Wrażliwość ta wykracza poza miejscowe stereotypy moralne i obyczajowe – i dlatego potrafi wczuć się w trudne położenie wszystkich mniejszości. Wyraża się we współczuciu dla ofiar represji: dzieci, kobiet, uczniów, mniejszości etnicznych, zwierząt, matki ziemi itp. Pociesza także pospolitych przestępców i autorów stanu wojennego – winowajców, którym nowe autorytety nauczyły się wybaczać w imieniu nas wszystkich.

Demaskowanie „przemocy” ukrytej w konserwatywnych instytucjach – rodzinie, małżeństwie, szkole – i okazywanie współczucia jej ofiarom jest okazją, by zwrócić na siebie uwagę. Intensywność wyróżniania się staje się miernikiem intelektualnej i moralnej wyższości. Rosnąca liczba wykrytych represji pogrąża stare autorytety i promuje nowe. Każdy nowy akt współczucia jest jak bramka strzelona świetnej drużynie na jej własnym boisku. Nic dziwnego, że nowe autorytety są grupą silnie antagonizującą społeczeństwo. Konflikt jest naturalną konsekwencją altruistycznej samoafirmacji i wskaźnikiem jej zaawansowania. Tylko w otoczeniu „zideologizowanej większości” działalność filantropijno-demaskatorska spełniać może funkcję prestiżowego wyniesienia. Pogarda dla religii i łzawa filantropia to dzisiaj karta wstępu do „dobrego” towarzystwa. Każda próba znalezienia historycznych i ideowych korzeni tej sytuacji jest gilotynowana złowieszczym zarzutem „antyinteligencji”.

Rewizjonizm – teraz!

Według Marksa klasa robotnicza jest depozytariuszem prawdy absolutnej, której strażniczką jest partia komunistyczna, a bezpośrednimi wyrazicielami – partyjni intelektualiści. Marksizm jest prawdą, inne koncepcje to ideologia. Dla intelektualistów, którzy odsunęli się od komunizmu, rozczarowanie marksizmem oznaczało z reguły zakwestionowanie tylko pierwszego członu poprzedniego zdania. Kończyło się więc na tym: skoro nawet marksizm nie jest prawdą, to wszystko jest ideologią. Każda rzekoma prawda obiektywna jest w istocie instrumentem czyjejś dominacji.

Jest to stan świadomości właściwy wielu eksmarksistom trwającym przy marksistowskim obrazie kultury zachodniej (uzupełnionym o zdesakralizowany marksizm) oraz przy partyjniackiej – a nie sokratesowej! – podejrzliwości. Chociaż są pozbawieni proletariackiego zaplecza, wciąż postrzegają siebie jako nieomylnych krytyków antyrelatywistycznego obiektywizmu. Mentalnie pozostają tropicielami ideologii i dlatego z łatwością przeskakują od niemodnego marksizmu do innych form lewicowego demaskatorstwa. W ten sposób pozostają w awangardzie społeczeństwa, gdzie po starym atakują religię i konserwatyzm.

Dopatrywanie się we wszystkich twórcach kultury cech ideologicznych jest znamieną charakterystyką współczesnych nauk społecznych. Mnożą się nazwy przedmiotów i metod demistyfikacji. Nie ma wiedzy, jest socjologia wiedzy; nie ma bogów, jest socjologia religii; nie ma tekstu, jest walka z „semantycznym imperializmem”. Nie stawia się pytania: czy to prawda? Stawia się pytanie: skąd się to wzięło? Nic nie tłumaczy się samo przez się. Obowiązuje dyrektywa „kontekst kształtuje świadomość”. Moje idee stanowią przejaw mojego

wychowania, stereotypów mojego środowiska, moich cech osobniczych. Dlatego nie wolno mi absolutyzować własnych ocen ani przed niczym się wzbraniać (odrzućcie jest formą oceny). Kwestionowanie podsuwanej pornografii z wizerunkami koprofagii jest agresją mojej ideologii wobec równocennej ideologii jej entuzjastów. Ten sposób myślenia zaciera różnice między zjawiskami, przez co redukuje je do sprzeczności konkurencyjnych „ideologii”, „orientacji”, „kultur” itp. Znika różnica między kulturą wysoką a niską, między normą a dewiacją, między cenzurą „czarną” a czerwoną.

„Oczekiwanie schyłku kapitalizmu było wpisane w klasyczne teorie socjologiczne” – pisał socjolog Zdzisław Krasnodębski. Faktem jest także, że większość kierunków w naukach społecznych do dziś tropi ideologie z pominięciem swoich własnych. To nie przypadek, że tak wielu byłych burżuazerców wyraża entuzjazm dla każdego ekscentryzmu, a nie umie opanować pogardy dla prostej pobożności. Nie jest przypadkiem, że w instytutach tak wiele jest filozofii i socjologii poświęconych Adorno i Baumanowi, a tak mało – Leo Straussowi. Ktoś mógłby odpowiedzieć, że za słabość myśli konserwatywnej odpowiedzialni są sami konserwatyści. Otóż są, ale nie sami.

Ostatni intelektualisci komunistyczni rzeczywiście zniknęli wraz z rozpadem komunizmu. Natomiast lewicowe idee przetrwały w mannheimowskiej, weberowskiej, heideggerowskiej czy „dekonstrukcjonistycznej” stylizacji. Odwrotny los spotykał przez kilkadziesiąt powojennych lat idee prawicowe, które były demaskowane i odsyłane w społeczny niebyt zarówno przez marksistów ortodoksyjnych, jak i przepoczwarzonych. Intelektualiści, zniechęceni do komunizmu, zasilali na ogół lewicową formację kulturową.

Odrodzeniu formacji prawicowej po wojnie przeciwdziałały nie tylko partyjny beton, lecz także niechęć ze strony szeroko pojętej lewicy intelektualnej, która zdominowała nauki społeczne i media.

Warto podkreślić, że wolnych od marksizmu-leninizmu autorów w polskiej humanistyce było sporo. W filozofii to uczniowie Ingardena, Elzenberga, spadkobiercy szkoły lwowsko-warszawskiej, tomiści i inni. Także marksiści podlegali ewolucji, a postawy moralne niektórych z nich były godne naśladowania. Dlatego studiowanie historii dyscyplin humanistycznych jest zajęciem pasjonującym. Tym bardziej że nauki te nie tylko inspirują wyobraźnię społecznych elit, lecz także dostarczają stawy kulturze masowej.

Pisząc o związkach intelektualistów z komunizmem, Ryszard Legutko stwierdza w najnowszej książce: „[...] trzeba wracać do tych czasów i – wbrew panującym wśród polskiej inteligencji nastrojom – pisać o tym książki”.